Rok II. Kraków, dnia 1go Listopada 1870. Ner 21.



wychodzi 1go i 16go każdego miesiąca.

PRENUMERATA: wynosi rocznie 4 złr. lub 2 tal. 15 sgr. — Półrocznie 2 złr. lub 1 tal. 8 sgr. — Kwartalnie 1 złr. lub 20 sgr.
LISTY I PRENUMERATĘ przesyłać należy pod adresem: Do redakcyi „**Włościanina**" Ulica Gołębia wyższa Nr. 169, 2 piętro.
OGŁOSZENIA przyjmuje się po 4 centy za miejsce drobnego wiersza, z dopłatą 30 cent. za stempel, za każdorazowe umieszczenie.

Pogadanki o świecie.

II.

Ledwieśmy się doczekali przyszłéj niedzieli. Ciągle myśleliśmy o tém, co nam dziadek będzie opowiadał o świecie. Aż gdy nadeszła niedziela, zgromadził nas dziadek pod lipą i tak zaczął opowiadać:

— Przyobiecałem wam zeszłéj niedzieli mówić o lądzie i opisywać to, co się na nim znajduje. Wiécie już o tém, że powierzchnia ziemi składa się z suchéj ziemi czyli lądu i z masy wody czyli morza. Zaczniemy sobie od lądu. Są to ogromne przestrzenie ziemi, ciągnące się aż do morza. Ale są i pośród morza kawały ziemi, rozumié się do około wodą oblane, a te nazywamy wyspami. A jest czasem gromada wysp niedaleko od siebie odległych, a gromadę taką zowiemy wielowyspem albo z cudzoziemska archipelagiem. Zdarza się znowu, że kawał lądu stałego jest w morze wsunięty, a więc z trzech stron wodą oblany. Ziemię taką nazywamy półwyspem. Brzegi lądu przy morzu nie są wszędzie jednakowe; w jedném miejscu nizkie, w drugiém wysokie i skaliste. W niektórych miejscach wciska się morze między ląd stały. Wykroje takie zowią się podług wielkości odnogami, zatokami, przystaniami i w nich to ludzie urządzają porty.

— A co to ma znaczyć? — zapytał ciekawie Ignacy.

— Są to miejsca — odpowiedział dziadek — do których okręty przypływają na odpoczynek, bo nie myślcie sobie, żeby one mogły bądź gdzie dobijać do brzegu. Trzeba w tym celu owych portów, gdzie wysiadają pływacze, zkąd wyładowane okręty odpływają lub bezpieczne od burzy morskiéj i napaści nieprzyjaciół mają schronienie. Kraje nadmorskie mają z portów wielką korzyść, bo łatwo mogą widzieć, ile się wywozi lub przywozi towarów, a dla tego nieprzepadnie opłata, którą od nich pobiérają. Są porty czyli przystanie wojenne, zabezpieczone mocnemi twierdzami, porty handlowe i takie, do których przybywające okręty nie dają opłaty. Utrzymanie portów kosztuje grube pieniądze, bo trzeba bić tamy, stawiać mury, urządzać groble i latarnie morskie. Oprócz tego są w portach kuźnie i fabryki, w których wyrabiają okręty, liny i żagle, a w portach wojennych są nadto działa i broń wszelka, by się bronić w razie potrzeby.

— A to ludzie prowadzą wojny na morzu? — zagadał Wawrzek parobek.

— Oj prowadzą, moi mili! — odrzekł dziadek — a są one okropniejsze niż na ziemi. Gdy będziemy mówili o morzach, może wam powiem o nich co więcéj. A teraz wróćmy do swojego. Na lądzie stałym i na wyspach znajdują się płaszczyzny, wysokości i głębokości. Okolica płaska bez wyniosłości nazywa się równiną. Jeżeli się na niéj rodzi zboże i inne owoce pola lub ogrodowe, zowie się polem; jeżeli rośnie na niéj trawa i polne kwiaty, zowie się łąką. Na nizinach są zwykle bagna, trzęsawiska, namuliska, albo pustynie lub stepy.

Wtém przewówił Kuba pastérz i pyta:

— A co to są te pustynie?

— Są to ziemie pokryte piaskiem albo zwirem czyli takiemi kamieniami, co to niemi wysypują goścince, a pusto tam i smutno; nie ma wody ani roślin tylko piasek i piasek albo skalista i goła ziemia. Największą pustynią na świecie jest Sahara w północnéj części Afryki, blizko Egiptu, gdzie to żydzi

byli w niewoli. Zdaje się, że dawnemi czasy była ona dnem morskiém, taka równa i płaska. Ma ona 650 mil długości i blizko 200 szérokości. Jest dziesięć razy większa od Niemiec.

— A czy też puszczają się kiedy ludzie w takie pustynie? — zapytałem dziadka.

A on mi tak na to odpowiedział:

— Pewnie, że się puszczają, ale nie w dwóch lub cztérech, jeno w wielkiém towarzystwie ludzi, które się karawaną nazywa. Karawany biorą ze sobą wielbłądy i konie, i muszą się dobrze zaopatrzyć w żywność, wodę i namioty. W pustyni żadne zwiérzę nie może być tak przydatném jak wielbłąd. Pustynia jest jakby piaczystém morzem, a wielbłąd prawdziwym na niéj okrętem. Na 650 mil ciągnie się więc to piaszczyste morze, a tylko gdzieniegdzie zielenią się kępy jakby wyspy na morzu, nazwane oazami. Do nich to dociérają podróżnicy i wypoczywają po przykréj przeprawie. W oazie bowiem są drzewa i trawy, a co najlepszego, wszędzie prawie znajduje się źródło. Kiedy podróżnicy uważą, że dogodna jest pora, zbiérają się w karawanę, w któréj są kupcy, dzicy murzyni i często uczeni badacze, napełniają miechy ze skóry wielbłądzéj świéżą wodą, wkładają na wielbłądy i puszczają się w podróż. Wjechawszy na puszczę, nie widzą nic innego tylko niebo i niezmierzone piaski. Powietrze afrykańskie pali ogromnym żarem, kurz powstający z piasku utrudnia oddech, a szczęście, gdy przynajmniéj spokojne jest powietrze. Lecz biada podróżnikom, gdy wiatr powstanie! Tumany kurzu biją w oczy a po całéj równinie tworzą się słupy z piasku, ówdzie usypują się pagórki, gdzieindziéj robią się doły. Straszna chwila, gdy wiatr ogromne te słupy zwróci przeciw karawanie! Uciekać nie można, ani pomódz sobie mimo największego wysilenia. Wiatr rzuca coraz to nowemi kupami piasku i zasypuje całą karawanę. Ale gorzéj jeszcze, gdy na pustyni zawieje okropny wiatr Samum! Naraz całe powietrze napełnia się gorącym kurzem, a odetchnąwszy nim człowiek lub zwiérzę, w téj chwili traci życie. Gdy ma nastać ta przerażająca chwila zniszczenia, padają zaraz wielbłądy na ziemię i zanurzywszy w piasku nozdrza, oczekują, rychło minie Samum.

— O Matko Boska! — zawołał Kuba — a po co też tam udają się ludzie?.. O już lepiéj u nas znosić mrozy, niż tam używać ciepła!

— A widzisz, mój chłopcze!—odparł dziadek—jakeśmy to powinni dziękować Bogu, że nas osadził na tak pięknéj ziemi, gdzie nie ma takich okropności, a żyć można dobrze, gdyby się tylko chciało pracować uczciwie. A że tam udają się ludzie, to robią nie z grymasów, ale z potrzeby. Karawany spotyka tam nieraz inna jeszcze przygoda. Podróż się przeciągnie z téj lub owéj przyczyny; naraz braknie wody. Bez niéj żyć niepodobna. Kopią tedy doły i dostają się do wody, ale przy kopaniu ginie wiele ludzi na uduszenie. Ale cóż z tego, woda często słona i mętna; pić jéj nie można. I cóż wtedy robią? Oto rozrzynają wielbłądy i piją wodę z ich żołądków, bo trzeba wam wiedzieć, że wielbłąd długo może w żołądku utrzymać wodę. Z braku wody nie raz całe karawany złożone, z dwu tysięcy ludzi i tyleż wielbłądów giną na puszczy, jak się to stało 1805 roku.

— To tam pewnie dużo jest kości? — rzekł Ignacy.

— O jest ich dosyć — mówił dziadek — bielą się do słońca, a i zeschłych trupów napotkać można nie w jedném miejscu, bo wiatr Samum nie pozwala, by ciała gniły, lecz tak je wysusza, że zupełnie stwardnieją i zczernieją. Wielbłądy nieraz po piersi grzęzną w piasku a udźwigają trzy razy tyle co nasze konie. Dróg ani ściészek tam nie ma.

— I nie zbłądzą to ludzie? — zapytał Wawrzek.

A dziadek tak gadał daléj:

— Nie zbłądzą, nie, bo karawany prawadzą doświadczeni ludzie, którzy znają doskonale każdą oazę, każde drzewo i źródło. A w nocy kierują się podług gwiazd i prosto zmierzają do swoich oaz, tam odpoczywają, nabiérają wody, przyrządzają żywność i daléj odbywają drogę. A robią zazwyczaj po cztéry do pięciu mil dziennie, a gdy wody dostać nie mogą, albo gdy miarkują, iż zbójcy napadną na karawanę, to i ośm mil robią.

— To tam i zbójcy zagrażają podróżnikom? — wtrącił Ignacy.

— A tak, moi mili — prawił dziadunio—bo ludy tamtejsze nieprzyjazne są dla siebie. Gdy jest wielka spieka, karawana odpoczywa we dnie a podróżuje nocą. W południe siadają ludzie przy studni i pokrzepiają swoje siły orzeźwiającą wodą, drudzy zakładają ogień ze suchych odchodów wielbłądzych, inni odprawiają modlitwy przepisane. Gdy obozują nocą, panuje do około grobowa cisza, gwiazdy iskrzą się prześlicznie, wtedy gromadzą się podróżni cy w jedno miejsce, jeden opowiada przedziwne historyje albo wszyscy śpiéwają chórem. Potém wszyscy udają się na spoczynek. Tak schodzi dzień po dniu. Karawany przy wodzie odpoczywają dni kilka a w większych oazach przebywają nieraz tygodnie i wymieniają swoje towary. Gorąco tam jest wielkie. W cieniu dochodzi do 40 stopni. Dészcze padają bardzo rzadko i to tylko w górzystych okolicach. Powietrze jest zawsze prawie jakby czerwonawą mgłą napełnione. Rano wchodzi słońce od razu bez zorzy porannéj jakby ognista, czerwona kula. Piasek miéwa 70 stopni gorąca, brakuje więc dziesięć stopni a byłoby gorąco wrzącéj wody. Często podróżnikom pokazują się w powietrzu przedziwne obrazy; jakieś zielone wyspy, rzéki i jeziora, nawet miasta z wieżami i drzewami, a jest to tylko złudzenie, pochodzące z ogromnego paru i łamania promieni słońca.

W skutek tak wielkiego gorąca, woda jest tam najważniejszym przedmiotem dla ludzi.

— A jak też wielkie mogą być owe oazy, w których ludzie spoczywają? — zapytałem dziadunia.

A on tak nam tłomaczył:

— Najmniejsze mają po 20 do 30 mil kwadratowych. Są i takie, co mają po 40 mil długości a 12 szérokości. Rosną w nich drzewa palmowe, daktylowe, krzaki, jarzyny a nawet i zboża. Ze zwiérząt napotykamy: lwy bez grzywy, lamparty, hyjeny, szakale, małpy, antylopy, strusie, gołębie, jaszczurki i żmije. Jeżeli się zejdą dwie karawany a jednéj brakuje żywności, to się dzielą ze sobą. Takie to więc życie na puszczy; tak wygląda ona jak wam opisałem. A teraz powiem wam o czém inném. Są i takie ziemie, które są skaliste a przecież rodzą. Do takich ziem należy Egipt. Jest on cały skalisty, prawie jakby puszcza. Przerzyna go rzéka Nil, a gdyby jéj nie było, Egipt byłby prawdziwą pustynią. A jak się to ma znaczyć, posłuchajcie! Nil wypływa z gór, w których od maja do września bez ustanku padają ulewne dészcze. Wody spływają do Nilu, przez co wzbiéra w połowie czerwca. I podnosi się do końca września, tak, że zaléwa cały Egipt. Jest

jakby ogromna powódź. Miasta jak wyspy wyglądają z wody a ludzie pływają na łodziach. Potém opada woda i zostawia muł tłusty. Ludzie nie orząc i nie kopiąc zasiéwają zboża i inne rośliny i po kilku tygodniach Egipt staje się prześlicznym ogrodem i najpiękniejsze bywają żniwa.

Chcieliśmy jeszcze pytać dziadunia, aby nam to i owo wytłomaczył, ale odłożył to znowu na przyszłą niedzielę.

Podziękowaliśmy mu pięknie i poszliśmy z nim na wieczerzę.

Józef z Bochni.

HISTORYJA O STACHU JEDYNAKU.

PRZEZ

Macieja Szarka.

III.

Stach po śmierci ojca żeni się i zostaje gospodarzem.

Stach, gdy został gospodarzem,
Zaraz w przyjaźń wszedł z karczmarzem,
Żonę sobie wziął poczciwą,
Pracowitą, nieswarliwą,
Rządną, dobrą, nieubogą,
W domu skrzętną i chędogą.
Lecz gospodarz, gdy ladaco,
To cóż żona zrobi pracą?
A więc póki wystarczało,
Co się w ojców domu miało,
Póty biéda ich nie znała —
I od chaty uciekała.
I nie myśląc Stach, broń Boże,
Że im kiedy braknąć może,
Na lenistwie czas marnował,
I spoczynku nie żałował.
— Nic pilnego — mówił sobie —
Toć to jeszcze jutro zrobię!..
Zbywał codzień, więc w oborze
Schudły konie, w polu zboże
Chwast przygłuszył, zdechły krówki,
A za niemi i jałówki,
Bo przypowieść stara uczy:
Oko pańskie konia tuczy.
Na przednowku brakło chleba,
A tu trudno, żyć potrzeba,
Więc sprzedano to i owo,
A Stach na to kiwa głową,
Niby stęka, niby wzdycha —
I z kieliszka bul bul z cicha.
Na dzień drugi klin na klina...
W klęciu aż się zapomina.
A gdy żona rzeknie słowo,
Stach się skrzywi, trząśnie głową.
I czy w głodzie czy w ucisku,
Wszystko kończy na kieliszku.
A tu w domu, niech Bóg broni,
Tylko biéda biédę goni.
Jedno ginie przez pijaństwo,
To marnieje przez tyraństwo —
A źli ludzie bez sumienia,
Rozdrapują resztę mienia.

IV.

Stach traci wszystko i wychodzi na wyrobnika.

Gdy Stach wreszcie przez niedbalstwo
Stracił całe gospodarstwo,
Grzela, co był wyrobnikiem
I u Stacha komornikiem,
Statkiem, pracą, zabiegłością,
Przedewszystkiem oszczędnością —
Wyszedł aż na gospodarza.
I jak często się znów zdarza —
Staszek został wyrobnikiem
I u Grzeli komornikiem,
A że ojców zniszczył trzosek,
Więc na kwintę spuścił nosek...
Tak próżniakom zwykle bywa,
Bo się na nich pan Bóg gniéwa.
Gdyby jednak był pracował,
I zabiegał i statkował,
Byłby nie doświadczył nędzy,
I przyszedłby do pieniędzy,
Łacno zwiększył swoje mienie,
Ale trzeba robić, lenie,
W święto Boga na mszy chwalić,
Nie na dolę złą się żalić,
Bo gdy człek zdrów z łaski nieba,
To czegóż mu więcéj trzeba?
Gdzie się spojrzy, wszędzie praca
I zarobek, co wzbogaca.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem.

III.

Franek od téj chwili, gdy wójt opuścił jego chatę, ciągle był niespokojny. Z żoną mało co mówił; zawsze był ponury, smutny i zgryźliwy. A w duszy swojéj klął przeciwników i przyobiecywał im zemstę. Pragnął ich ograć koniecznie. Ale cóż, kiedy brakowało pieniędzy!....

— Czemużeś taki smutny, mój Franusiu? — mówiła raz Celina. — Co zrobiłeś, to już minęło! Nie zważaj na ludzi, bądź wesoły, bo ja w tobie widzę poprawę....

Franek spojrzał na nią z ukosa i wargę ścisnął zębami.

— Dzisiaj niedziela — mówiła daléj Celina — chodź ze mną do kościoła, a ludzie pięknie o nas mówić będą....

— Nie potrzebuję kościoła! — odfuknął Franek. — Czy się mi zachciéwa, żeby ludzie na mnie zerkali oczyma a potém roznosili mnie po wsi na swoich językach uszczypliwych?... Idź sobie sama! — przyciął obojętnie.

Celinę dreszcz zimny przeszedł po kościach. Wzięła książkę do nabożeństwa i wyszła z chaty. Wkrótce wyszedł także i Franek i wsparłszy się na płocie, patrzył jak ludzie świątecznie ubrani szli pod górę do kościoła.

Nadchodzi kowal, sąsiad Franka.

— A czegóż tak smutny? — pyta czémprędzéj.

— Diabli wzięli! — mruknął Franek — pieniędzy potrzeba, a tu wywróć wszystko do góry nogami, ani dudu!

— No, mój sąsiedzie dobry! — powiedział kowal — jabym was wsparł w potrzebie, ale jak dacie dobry procent.....

— Na uczciwość, tak dam! — zawołał wzruszonym głosem, a twarz jego widocznie nabrała pogody.

— Kiedy tak, to dostaniecie pieniędzy — prawił kowal — ale po dwadzieścia od sta....

— Zgoda! — wykrzyknął Franek ucieszony.

— Ale na weksel — dodał kowal — bo inaczéj dać nie mogę....

— Ależ dobrze, mój złoty sąsiedzie! — powie Franek — wszak ja wiem co to weksel, bo będąc

przy wojsku, nieraz go widziałem, jak nasi brali pieniądze od żydów....

— A więc chodźmy do karczmy! — zagadał kowal. — Tam napijemy się litkup i napiszemy weksel.

I poszedł głupi Franek, bo nie wiedział, że to prawdziwa jego zguba. Kowal zaś cieszył się z tego w duchu, bo już od dawna miał ochotę nabyć własność Frankową, to też uważał, że tym sposobem będzie mógł wykonać swój zamiar.

A Franek czując pieniądze w pasie, zaraz był weselszym i myślał tylko o wieczorze, by zagrać w karty. I grywał odtąd na nowo, raz z powodzeniem, drugi raz ze stratą, a gdy brakło pieniędzy, daléj do kowala, a on pożyczał chętnie, bo miał w tém interes. A choć kowal sam nie znał się dobrze na wekslach, używał do pomocy żyda, któremu płacił za poradę, myśląc, że i tak świetną robi spekulacyję. Franek brnął w coraz większe długi. Przegrywał ciągle, a żył w nadziei, że się odegra. A diabeł temu włosy obrywa, kto mówi, że się odgrywa. Celina ledwie oczu nie wypłakała od ciągłego zmartwienia, bo się z nią obchodził nielitościwie.

Aż razu pewnego spotyka wójt Franka i rzecze:

— Bójcie się Boga, Franciszku, nad straszną stoicie przepaścią! Zdaje się wam, że nie mając dzieci, możecie trwonić dobytek waszego ojca i trapić biédną żonę!.... Pamiętajcie, źle wyjdziecie na tém! Nie udawajcie zucha, ale bądźcie poczciwym człowiekiem, jak są wszyscy gospodarze w naszéj wiosce; czyńcie, jak nam nakazuje wiara nasza.

Na to powie Franek lekkomyślnie:

— Jestem młodym, to użyć mogę! A zostanę dziadem, to pójdę z torbą! A żona moja może zrobić to samo, bo i tak nic nie miała, gdy ją pojąłem za żonę....

— Ale miała dobre serce i ochotne ręce do pracy — powie wójt — a to więcéj warte niż pieniądze. Ta rumiana i rześka Celina, jakże ona dziś wygląda? To cień tylko dawnéj Celiny! Owoż do czego to doprowadza człowiek, który stroni od kościoła a w karczmie szuka pokrzepienia! Ja jednakże słyszałem o was coś gorszego....

— I cóż takiego? — poderwał spiesznie Franek.

— Oto — powiada wójt — że pożyczacie pieniądze na weksle. A czy wy wiécie, co to jest weksel dla nieświadomego człowieka? To jest jakby morowe powietrze na jego dobytek. Jedna pomyłka, jedna niedokładność, pociąga ogromne straty. A weksli są różne gatunki i tylko za poradą adwokata wystawiać je można. Jabym się na to nie odważył, a wy to załatwiacie z kowalem, który czyha na waszą ojcowiznę, i z żydem, który wam obydwom da frycówkę!.... Dobrze, że o tém nie wié Celina!

Zmięszał się Franek, przyobiecał zachować ostrożność, ale rozstawszy się z wójtem, spotkał dobrego znajomego i zamiast pójść do domu, wstąpił do karczmy.

Zastali tu kilku swych kompanów, a więc rozpoczęła się pijatyka na dobre. Popiwszy się należycie, rozpoczęto grę w karty. Franek miał dosyć pieniędzy, to też grał bardzo ryzykownie i częstował wódką swoich serdecznych przyjacieli.

Wreszcie, jak to mówią, odwinęła się chorągiewka. Co Franek postawił, przegrał za każdym razem. Wreszcie przegrał ostatnie pieniądze. Ruszyło go sumienie i przypomniały się mu słowa wójta. Rozezłościł się więc namiętnie, uderzył grożnie w stół ręką i zawołał na całe gardło:

— Bądźcie zdrowi, złodzieje, kiedyście mię tak okradli!

— Kto złodziéj? — zawołał jeden karciarz.

— Kto złodziéj? — wrząsnął drugi i jednéм uderzeniem powalił Franka na ziemię.

Powstała okropna bójka. Pogaszono światła, wyrywano nogi od stołków i bito się niemiłosiernie. Krzyk i hałas rozlegał się daleko.

Frankowi udało się wymknąć, ale zupełnie był bezsilny, bo był zbity i pokrwawiony. Noc była ciemna. Idąc Franek wpadł do rzeczułki i ledwie z wielkiém wysileniem wydobył się na brzég i upadł z osłabienia.

Rano przychodzą ludzie i widzą Franka krwią zbroczonego. Patrzą, a tu głowa rozwalona, a na ciele pełno sińców i guzów. Mówią do niego, lecz ani głosu wydobyć nie może. Biorą go na nosidła i niosą do domu. Na widok ten Celina zemdlała. Trzeźwią ich zaraz ludzie i ledwie się ich docucono. Wnet schodzą się baby lékarki z ziołami i maściami, okładają Franka, zażegnują i różności wydziwiają, ale to nic nie pomaga; coraz gorzéj i gorzéj.

Biédna Celina nie odstępuje od łóżka; dzień i noc czuwa przy chorym, modli się i płacze, o jak bolesna jéj dola! Franek osłabł zupełnie, jęczy i stęka, aż gdy na trzeci dzień przybył lékarz z miasta, Franek zakończył życie.

Celina rwie sobie włosy na głowie a od zmęczenia już nawet płakać nie może. Niebawem odprawiono pogrzeb i Celina została wdową.

Co daléj było, dokończymy wam w przyszłym numerze.

ŚWIĘTY IZYDOR. *)

Bardzo dawno, bo już przeszło siedmset lat temu, gdy się urodził święty Izydor. A rodził się w miasteczku Madrycie, dzisiejszéj stolicy państwa hiszpańskiego, z rodziców bardzo ubogich, nizkiego stanu. Ojciec Izydora, jako rolnik pracował w pocie czoła na kawałek chleba, matka pilnowała domu i zajmowała się dziećmi, jednakże byli to nadzwyczajnie poczciwi, dobrzy i pobożni ludziska, to téż w ich domu nie było i swaru i kłótni, chociaż tego i owego brakowało. Dolę swoję znosili z ciérpliwością i za wszystko dziękowali Bogu. Czy im się tak lub owak powodziło, nie sarkali nigdy, ale zdawało się jeszcze, że ci ludzie, jak to mówią, bez żółci, nie pragnęli niczego więcéj. A w rzeczy saméj był u nich niedostatek, dzieci było kilkoro, a chlebek z roli nie wystarczał na ich wyżywienie. Ale z drugiéj strony opatrzny Bóg zawsze i wszędzie, szczęścił im na czém inném. Syn ich najstarszy, Izydor, prawdziwą był dla nich pociechą i weseleniem, bo pomagał ojcu w pracy, a przytém nie był upartym, krnąbrym i lekkomyślnym, jeno bogobojnym, pracowitym i kochającym swych rodziców synem. Gdy zmiarkował, że rodzicom trudno przychodzi wyżywić tyle dzieci, a sam już mógł zapracować na siebie, przyjął służbę u tamtejszego mieszczanina Jana Wergasa, pana całą gębą, a zgodził się za parobka. Tu pojął sobie za żonę ubogą, ale cnotliwą i pobożną Maryję To-

*) Załączony obrazek jest wierną kopiją obrazu w więcławskim kościele, o którym wam kiedy napiszę.

rybiję, która dzisiaj także jest w Hiszpanii za świętą uważaną.

Pan był z niego zupełnie zadowolony, bo i wstawał najwcześniéj i najpóźniéj szedł na spoczynek; pracował uczciwie a przytém nie chciał w niczém sprawiać uszczerbku swojemu panu. Doglądał wszystkiego jak się patrzy, a przed pracą i po pracy modlił się nabożnie, i nigdy jéj nie zaczął, dopóki się piérwéj nie pomodlił w kościele. Na rozpustę nie chodził nigdy, ale pilnował tego sumiennie, co miał uskutecznić. Pan też za to patrzył na niego miłém okiem, nie ciérpieli go atoli inni służebnicy, że z nimi nie chodzi na hulanki, jeno patrzy swego. Czyhali więc na sposobność, by go mogli oczernić przed panem. Skarżyli go tam i nieraz, ale pan dobry nie wierzył wszystkiemu, bo znał Izydora z pięknéj strony i pamiętał sobie, co mu mówił:

— Panie! nie żałuj chwili czasu, którą przepędzam na modlitwie, bo praca nie doznaje przez to opóźnienia i szkody, owszem jeszcze większy przynosi pożytek....



Zdarzyło się razu jednego, że Izydor stanął z innymi parobkami na polu i miał orać wyznaczony kawał ziemi. W tém zadzwoniono w poblizkim kościele. Zostawia tedy Izydor trochę siana dla wołów a sam idzie do kościoła. Wówczas spieszy jeden sługa do pana i oznajmia, że Izydor zaniedbuje pracę, bo myśli tylko o modlitwie. Przybywa pan na pole, zwołuje parobków i udaje się z nimi na to miejsce, które miał zorać, aby ich przekonać, jak źle robią z swojéj zawziętości. Patrzy, a tu biały jak śnieg anioł popędza woły i orze najrówniéj zagon po zagonie. Na widok ten przyklęknął pan ze sługami swojemi i dziękował Bogu, że mu dał takiego sługę. Nadchodzi Izydor i dziwi się, co tam robi tyle ludzi?

— Izydorze! patrz! — mówił pan — ten oto sługa chciał kopać pod tobą dołki i rozgniéwać serce moje ku tobie. Brzydzę się nim i spólnikami jego i oddalam ich ze służby!

— Panie! nie czyń tego! — prosił Izydor — oni zbłądzili a sami nie wiedzą dla czego? Daruj im przez miłość twoję ku mnie, a ja ci ręczę, że oni będą innymi!

Dał się nakłonić pan dobry, zbliża się z ludźmi do orzącego anioła, lecz ten zniknął w téj chwili.

Od tego czasu uważał pan Izydora nie za swojego sługę, ale cenił go jako przyjaciela, bo mu służył wiernie i uczciwie; pozwalał mu chodzić na nabożeństwo, bo wiedział, że nie będzie miał straty. A Izydor nie korzystał z powolności pańskiéj, pracował podług sił swoich, w niczém pana nie oszukał, doglądał jego mienia, bo wiedział, iż fałszywie służy Bogu, kto zaniedbuje swoje powinności i słucha poszeptów złych ludzi.

Rówiennicy jego kochali go jako ojca i nigdy już nie donosili na niego żadnéj plotki, a Bóg udzielał mu szczególnéj swéj łaski. Ożeniwszy się Izydor, dostał od pana w nagrodę wiernéj służby spory kawał roli i został dla siebie gospodarzem. Część swojéj ojcowizny przekazał dla młodego rodzeństwa, a sam poprzestał na tém, co otrzymał z Bożéj Opatrzności. Sam nie wiele mając dzielił się z ubogimi, z żoną żył w zgodzie i miłości; sąsiadom nie dokuczał, ale nadto pomagał w czém się dało. Bóg mu téż błogosławił, dla tego mówili ludzie:

— Dla Izydora nie ma nieszczęścia. Kogo nie minie, to jego minie, bo człek zacny i uczciwy, Bóg czuwa nad nim widocznie....

Jednego dnia rozdał Izydor ubogim wszystko jadło, co miał w domu. Wieczorem przychodzi żebrak i prosi o posiłek. Pyta Izydor żony, czy niema jeszcze czego w domu?

— Nie ma ani okruszyny! — rzekła żona.

Izydor zmartwił się bardzo, bo nie chciał puścić żebraka bez niczego.

— Maryś! — mówił do żony — popatrz jeszcze do garnka, może co znajdziesz?....

Patrzy żona i rzeczywiście znajduje pełno kaszy. Najadł się głodny żebrak i poszedł błogosławiąc poczciwych ludzi.

Innym razem idąc do młyna z sąsiadem, niósł wór pszenicy. W drodze obaczył mnóstwo głodnych ptaków. Izydor rzucał im pełnemi garściami. Śmieje się z niego sąsiad. Ale pokazało się potém, że z jego nadbranego worka więcéj było mąki niż z pełnego sąsiada.

Skoro mu umarła żona, nie zadługo przeniósł się i on do wieczności, a było to 1170 roku. Przed śmiercią przyjął Najświętszy Sakrament i pożegnawszy się najczuléj z domownikami, których zachęcał do pracy i pobożności, z uśmiechem na ustach, z pogodną twarzą zasnął w Panu.

I któżby tam zliczył cuda, jakie Bóg okazywał po jego śmierci? Z tego też powodu papież Grzegórz XV. kanonizował Izydora d. 12. marca 1622 roku, a kościół obchodzi pamiątkę tego świętego dnia 10. maja.

Święty Izydorze, oraczu, patronie kmiotków i rolników, wyproś u Boga łaskę, by nam się na rolach naszych szczęśliwie powodziło, by kwitnęła zgoda, pobożność i praca!

Józef z Bochni.

Wiadomości gospodarskie.

Przy kopaniu buraków, rzepy i ziemniaków trzeba bardzo uważać na czas dojrzałości. Ciepło i wyziewy z nich wydobywające się tém prędzéj pobudzają do gnicia rośliny okopowe, im mniéj są dojrzałe a bardziéj wodniste. Ważną jest zatém rzeczą dokonać zbioru we właściwym czasie, co można rozpoznać przez uschnięcie liści lub przez lekkie zdarcie wiérzchniéj skórki.

Siła oczek kiełkowych jest podstawą urodzaju ziemniaków, gdyż miazga czyli rdzeń ziemniaka służy tylko do zabezpieczenia oczka, nie zaś do wyżywienia pierwiosnka, na co nie brak licznych dowodów. Często widzimy, że pocięty ziemniak na wiele części, ten sam zbiór wydaje, co cały nieprzecinany. Często dla niedostatku ziemniaków sadzą same oczka, które wydają pomyślny zbiór przy wielkiém staraniu. Wszystko to dowodzi, że młody zarodek po wystrzeleniu z ziemi żywi się głównie pierwiastkami powietrza. Średni też i jędrny ziemniak jest do sadzenia najlepszym, bo w nim napotyka się najliczniejsze i najsilniejsze oczka kiełkowe. Czystość i jasna barwa skóry zasługuje także w ziemniakach na wielką uwagę.

Dla téj saméj przyczyny średniéj wielkości a układnego kształtu ćwikła i rzepa są najlepsze i więcéj wydają nasienia i lepsze latorośle niż olbrzymio wielkie.

Rzepa, buraki przeznaczone na nasienie nie obiérają się w jesieni z liści; nadto zaleca się je zasadzić jak najwcześniéj na wiosnę w dobrze przysposobioném i zabezpieczoném miejscu, nasienie zaś zupełnie dojrzałe zbiérać ostrożnie. Nasiona rozkładają się starannie w śpichrzu, aby przeschły i nie zbutwiały, a tém samém nie straciły mocy kiełkowania.

Rzepa, ziemniaki, buraki w piwnicach i w duże kopce złożone zagrzéwają się tém łatwiéj, im w gorętszym czasie były kopane i chowane. Kopców nie trzeba zatém sypać wyżéj nad 5 stóp, a wykopane ziemnaki na 3 lub 4 tygodnie słomą tylko wypada przyrzucić, aby z nich mogła wyparować zbytnia wilgoć, zanim się je słabo ziemią od spodu obrzuci i następnie przed zimą dobrze przykryje ziemią.

Do pokrycia kopców najlepsze są łodygi z rzepaku, bo są grubsze od słomy, a przeto wilgoć lepiéj paruje. Strzédz się też potrzeba zbyt grubego pokrycia słomą, gdyż od wilgoci i ciepła w kopcu gniją ziemniaki. Zamiast słomy używają niektórzy gospodarze z dobrym skutkiem sosnowych gałązek. Gdzie drzewo tanie, bardzo dobrze jest po nad ziemniakami w kopcu ustawić trójnóg z żérdek i pozakładać na około drążki, które się obsypuje ziemią. Wtenczas i parowanie odbywa się dobrze, a słoma zostaje w zysku. A na zimę okrywa się zwykle mchem kopce dla bezpieczeństwa. Często daje się na wiérzchu i po bokach kopców drewniane lufty czyli kominki, któremi wychodzi para z ziemniaków. Nie są to jednak korzystne takie otwory, gdyż przez nie wchodzi zimniejsze powietrze a zmiana stanu powietrza może spowodować gnicie zimniaków.

Jeżli kopiec przed zimą należytą ilością ziemi nie był przykryty, to w przypadku silnego mrozu należy go jeszcze raz przykryć gnojem, liśćmi, mchem, a gdy mróz zwolni, znowu je odkryć zwiérzchu. Na wiosnę zaś po ostréj i ciężkiéj zimie nie trzeba kopca wprzód odkrywać, dopóki na nim ziemia nie zwilgotnieje. *Im dłużéj ziemia zmarznięta pokrywa ziemniaki, tém są pewniejsze i tém lepiéj potém puszczają pędy.*

Przed sadzeniem ziemniaków obłamują się pędy a ziemniaki składają się w sąsieku, aby poprzerzynane powiędły. Wilgotne bowiem, z których sok się sączy po przecięciu nożem, łatwo gniją w ziemi. Całe nawet ziemniaki powinny zwiędnieć przed sadzeniem, gdyż zbytnia wilgoć utrudnia kiełkowanie, a zwiędniałe lepiéj puszczają rostki.

Wyrodzenie się ziemniaków pochodzi od niezdrowych części składowych ziemi i fizycznych wpływów natury. Krajanie ich do sadzenia bynajmniéj na to nie wpływa.

Do przyspieszenia kiełkowania potrzeba stósownego stopnia ciepła i wilgoci, a przedewszystkiem ułatwionego przystępu powietrza. W pulchnéj ziemi słońce i powietrze lepiéj oddziaływuje na kiełkowanie ziemniaków, które są lepiéj zabezpieczone od gnicia i robactwa. Sadząc ziemniaki należy je odwracać oczkami do góry, inaczéj pęd się zwija i traci na swéj sile.

CO SŁYCHAĆ W SWIECIE?

Wojna w całéj swojéj grozie trwa ciągle. W późniejszym czasie dzieci nasze może nie uwierzą, iż w naszym wieku dwa sąsiednie wielkie narody tak straszliwą prowadziły walkę. Rząd pruski w swojéj pysze i zarozumiałości nie zna granic; nie uważa, iż tyle tysięcy Niemców i Francuzów, najdzielniejszych ludzi kraju, ziemię gryzie; nie zważa na krocie wdów, siérót, matek i ojców starych, bezsilnych, lecz kroczy zapamiętale ku wyniszczeniu sąsiada i zadowoleniu swéj pychy. Lud niemiecki inaczéj myśli. Dzienniki niemieckie piszą, iż w Prusiech lud zaczyna bardzo szemrać przeciw wojnie; gospodarstwo polne, fabryki, handel, rzemiosła opuszczone, bo mężczyźni w polu, w szpitalu lub w grobie. Królowa pruska sama telegrafowała do króla, męża swego, z prośbą, by wojnę zakończył, bo nie ma spokoju od wdów i siérot, które ją nachodzą.

W Berlinie komitet pomocy nie może dawać nie tylko pomocy, ale nawet jałmużny. — Oprócz kilkudziesięciu tysięcy wdów i siérot, przyszło 80,000 kobiét, których mężowie stoją jeszcze w polu, wzywając pomocy. W Westfalii zgłosiło się we wrześniu 11,817 wdów po poległych żołnierzach z 22,723 dzieci, żądających chleba, by żyć; w prowincyi reńskiéj 14,312 wdów, mających 29,619 dzieci, i t. d.

Straszna nędza w Prusiech, a żywność musi być posyłaną nie tylko na pole wojny, ale i w różne prowincyje, gdzie głód panuje. A cóż to będzie na przyszły rok, kiedy nie było rąk, aby pola uprawić? — Nie lepiéj się wiedzie wojsku pruskiemu we Francyi, szczególnie pod Metz i pod Paryżem. Zabiérać prowiantów z okolic nie mogą, bo Francuzi na kilka mil uciekając przed Prusakami, żywność zabiérają, bydło pędzą w lasy. Prusacy napadają na pyszne zamki, znajdują złociste meble, lustra, a jedzenia nic zgoła. Jeżeli co sprowadzą, to często napadają na transporta wolni strzelcy francuzcy i zabiérają, a dowóz żywności z Niemiec trudny, bo i drogi złe i wolni strzelcy ciągłe robią napady. — Ztąd ciérpią Niemcy głód. Mają wprawdzie dosyć owoców, ale Francuzi umyślnie zostawili je dla Prusaków na lep, bo Prusak gło-

dny naje się owoców i choruje. Biegunka i tyfus bardzo panuje w armii pruskiéj. Przez Moguncyję przewieziono kilkadziesiąt tysięcy chorych do Niemiec; przewożą ich co dzień do 500, i to jak nie ludzi, bez słomy, posłania, okrycia ciepłego, bo nie mogą nastarczyć odzieży i słomy. Mrze też w drodze bardzo wielu z powodu tych niewygód. Zołnierzom niemieckim zdaje się, iż to Francuzi winni ich nędzy. Mszczą się więc na Francuzach za to, iż ci nie chcą jak barany dać się wyrznąć i bronią się zajadle.

Donoszą, iż w okolicy Sedanu zabiérali Prusacy wszelką żywność, którą tylko wziąść mogli; wypróżniali sklepy, a czego nie wypili, wyléwali, co mogli to sprzątnęli, a czego nie wzięli, to zniszczyli; targnęli się na kobiéty, a oficerowie ich na czele piérwsi byli do tego, zamiast żabraniać. 20 wsi spalili Prusacy, i powiesili 150 wieśniaków. W pewném miejscu przybili Prusacy do ściany jednego wieśniaka, koło niego dwie kobiéty, którym kwiatki do ust powkładali i spalili wieś. W inném miejscu kazał książe Meklenburg-Schwerin wieś na cztéry końce podpalić, i przypatrywał się pożarowi. A kazał to zrobić za to, że na Prusaków stojących w téj wsi napadli strzelcy francuzcy i tu ich wybili. Za jednego zabitego Prusaka grożą rozstrzelaniem cztérech jeńców francuzkich. Trudnoby spisać wszystkie okrucieństwa pruskie a to narodu, który szczyci się największą cywilizacyją. Jeżeli takie postępowanie ma być dowodem oświaty, to chroń Boże każdego uczciwego człowieka od tego niemieckiego rozumu.

To też i Pan Bóg łaskę swoją odwraca od Prusaków. Większe bitwy zaszły w ostatnich czasach pod Orleanem, pod Paryżem i pod Metzem.

O walkach pod Orleanem mamy następujące wiadomości. Część wojska niemieckiego około 50,000 wyruszyła pod dowództwem jenerała Taima z pod Paryża, aby natrzeć na armiją francuzką loarską, która zaczęła tył Niemcom zachodzić i ich otaczać. Przyszło do walki 10. b. m. i dnia następnego, od 10 do 7 wieczór. Francuzi, których było koło 20.000 nacierali bardzo gwałtownie, ale po kilku godzinnym boju musieli się cofnąć w porządku przed przeważną siłą pruską. Prusacy zajęli więc Orlean, ale nie poszli daléj za Loarę, gdyż Francuzi się zbiérają, by przejścia przez tę rzékę nie dopuścić. Prusacy sami przyznają, iż stracili 1600 zabitych i 3 działa, a 5 wozów z prochem wyleciało w powietrze. Francuzów miało paść 1000 ludzi. — To zajęcie Orleanu opłacili Prusacy bardzo drogo pod Paryżem, bo jenerał dowodzący w Paryżu Trochu, uważając iż Prusacy wysłali część swego wojska, skorzystał z chwili, zrobił 12. b. m. ogromną wycieczkę z Paryża na wszystkie strony, i wyparł Prusaków z wszystkich fortów, które od trzech tygodni zajmowali. — Jenerał niemiecki Hartmann tak o tém pisze: „Mimo ogromnéj waleczności, Niemcy utracili wszystkie pozycyje na około miasta, Francuzi zajęli je i ustawili na nich bateryje i kartaczownice, które straszne robiły spustoszenia. Wojska niemieckie musiały się cafać. Straty niemieckie ogromne; przeszło 5.000 zabitych, 3 bateryje, 5 bateryjnych dział straconych. Granaty francuzkie zniszczyły śliczny zamek césarza Napoleona w St. Cloud, gdzie były magazyny pruskie wartości 80.000 talarów. Francuzi upewniają zdobyte pozycyje.“ — Dnia 15 b. m. zaszła nowa bitwa pod Paryżem, w któréj miało paść 3.000 Prusaków.

Również źle powodzi się Niemcom pod Metzem. D. 14 b. m. zrobił Bazaine wycieczkę w 80.000 ludzi, zniszył 26 pruskich batalijonów, 2 pólki kawaleryi, zburzył magazyn i zabrał 193 wagonów z żywnością i amunicyją; przytém niepokoi co dwie godziny Prusaków, i nie daje im spać i odpoczywać. Po téj wycieczce wyśłał Bazaine swego adjutanta, Boyer, do głównéj kwatery pruskiéj w Wersalu niby w celu ugody o kapitulacyją, a właściwie, aby się dowiedzieć o sile i rozłożeniu Prusaków. Prusacy więc daremnie się cieszyli, że Metz się podda, i będą mogli 170.000 wojska, co stoi pod Metzem, wysłać pod Paryż. —

Garybaldi został zamianowany dowódzcą całéj armii nieregularnéj, która trapi Prusaków napadami ciągłemi, i wyjechał w góry Wogezów.

Jedno tylko złe u Francuzów, iż są mało zgodni i nie mają zaufania do swoich jenerałów. Wielkie armije loarska i lyjońska stoją gotowe do boju, a nic nie robią z powodu wzajemnéj nieufności. Teraz zamianowano dowódzcą armii lyjońskiéj dzielnego jenerała Bourbaki, któremu Napoleon chciał syna swego oddać w opiekę, by go osadzić na tronie francuzkim. Jeżeli Francuzi w kraju będą zgodni i równie waleczni jak mieszkańcy Paryża i wojsko w Metz, to bez wątpienia Prusaków wypędzą. Inacéj wszystkie ofiary będą daremne. Okręta francuzkie krążą na morzu i zabrały już kilka okrętów niemieckich. Miasta niemieckie nadmorskie obawiają się bombardowania przez te okręta, i może dla tego nie bombardują Prusacy Paryża, choć ciągle obiecują, bo się boją odwetu.

Z Paryża ciągle wylatują balony ogromne, a w nich czasem kilka cetnarów listów; piérwszy minister francuzki Gambetta, Keratry i wielu innych znakomitych ludzi odważyło się wydobyć tym sposobem z Paryża i szczęśliwie się im udało, choć to bardzo rzecz niebezpieczna, bo Prusacy strzelają do tych balonów, lubo dotychczas bez skutku.

W Rzymie nie wiele nowego. Rząd włoski gospodaruje w Rzymie jak w własnym domu. Ojciec św. odroczył Sobór św. na czas nieograniczony, ale nie wiadomo czy opuści Rzym lub nie. Dotychczas żadne z państw nie ujęło się za Ojcem św.

W Hiszpanii chcą obrać królem syna króla włoskiego, ks. Amadeusza, który jest skłonny do przyjęcia korony.

W Austryi zamieszanie z powodu wyborów bezpośrednich w Czechach; rząd chciałby, by lud takich wybiérał, coby poszli do rady państwa, a Czechy iść nie chcą. Prusacy mają chętkę zabrać Czechy i Morawę i przerobić ich na Niemców, a potém mówią łatwiéj sobie z Polakami poradzą. Boże uchowaj nas od tego! A mamy nadzieję, że się tak nie stanie, chociaż Wiédeńczycy lgną do Prus jakby do swojéj ojczyzny.

Szanowny Panie Pisarzu Włościanina!

Piszę, co mogę, bo bym rad wszystkich włościan, którzy to pisemko czytają, zachęcić do oświaty, żeby byli dobréj myśli, w swych sercach mieli miłość braterską, bo bez miłości i jednego ducha żaden naród potężnym być nie może.

Szanowni Czytelnicy, którzy to pisemko czytacie, pomyślicie sobie albo powiécie, jak mi się chce pisać albo co mi z tego przyjdzie, że piszę do gazet? Tak mi właśnie powiedział mój sąsiad Błażéj przyszedlszy do mnie jednéj niedzieli po nieszporze. Pisałem wiérsze. A on mówi do mnie:

— Na co się wam przyda, że zawsze godziny wolne po pracy wieczór i we święto trawicie na pisaniu?

Odpowiadam mu tedy na to:

— Kochany Błażeju! wiadomo wam przecie, że od lat kilku każdą godzinę po pracy i nabożeństwie poświęcam na pisanie i czytanie. Wy zaś powinniście swój czas poświęcić przynajmniéj na słuchanie czytania w czytelni naszéj.

Błażéj: A kiedyto, mój Macieju, człowiek przyszedłszy do téj czytelni, tak się jakoś osłucha, że wyjdzie ztamtąd jakby co komu był winien i zasmucony.

Maciej: A to dla czego?

Błażéj: Bo tam czytają takie reczy, o których człowiek dotąd nic nie słyszał, ani ich nie zna, ani ich nie widział, a gdy idę do karczmy w niedzielę po południu, to się tam zejdzie Kuba, Pawełek i Bartek; do syta się nagadamy i naśmiejemy, że człowiek wyjdzie ztamtąd taki rozweselony jakby na loteryi wygrał.

Maciej: Kochany Błażeju! nie wstyd was to, że wy w święto idziecie do żyda? Dla czegóż żyd do was w szabas nie przyjdzie na pogadankę? Znakiem tedy, że żyd szanuje swoje święto, a wy swoje gwałcicie, bo idziecie na niegodziwe mowy, i ztąd zły przykład dajecie swoim dzieciom. A karczma to jest kaplica szatana i sidła na majątek włościański. Żaden człowiek poczciwy i moralny do karczmy nie pójdzie na pogadankę, bo to jest hańbą dla niego!

Błażej: A kiedy to, mój Macieju, chętka ciągnie do karczmy, gdy człowiek ma czas.

Maciej: Ale wy zawsze dłużéj w karczmie siedzicie niż wam czas pozwala.

Błażéj: Jużcić prawda, bo czasem przyjdzie szwagier, brat lub kmotr, każą dać gorzałki po jednym, drugim i trzecim kieliszku, to też i człowiek nie jest od tego, żeby nie zapłacił kilku półkwaterków i czas się przeciągnie.

Maciej: A widzicie, kochany Błażeju, że przez to tracicie poczwórnie, bo tracicie czas, majątek, zdrowie i honor.

Błażéj: Ja przecie nie zawsze cały dzień siedzę w karczmie przy gorzałce. Prawda, że codzień jestem w karczmie, ale nie długo, tylko dwie, trzy godziny, bo sobie każę dać dwa, trzy półkwaterki gorzałki i idę do domu, prześpię się trochę, wstaję znowu i idę do roboty.

Maciej: A widzicie, mój Błażeju! Czas, oszczędność, wytrwałość i praca, to ludzi zbogaca. — Gdyby człowiek co dzień tylko jeden cent oszczędził, to w ciągu jednego roku zebrałby 3 złr. 65 centów, a gdyby oszczędzał przez lat 30, zebrałaby się przez ten czas sumka 109 złr. 50. cen. wynosząca. Gdyby zamiast jednego centa składał co dzień 3 centy, co ma dać na gorzałkę, zebrałby sumkę 328 złr. 50 centów. Opróżnować godzinkę, zdaje się człowiekowi być nie wielką rzeczą, a jednak kto codzień tak robi, w ciągu lat 30 zmarnuje godzin 10.950 czyli 456 dni, które wynoszą rok cały i trzy miesiące.

Wyłożyłem wam wszystko, Błażeju kochany,
Jest więc dla was ten przykład wielce pożądany.
Teraz sobie wystawcie, co znaczy utrata —
Jak to giną pieniądze, jak to giną lata.
Zdaje się wam, Błażeju, że to nic nie znaczy —
Zasiąść w karczmie godzinkę, odbiegać od pracy;
A czasem ta godzinka cały dzień wam strawi,
I o wielką was stratę częstokroć przyprawi.
Dla gospodarza strata, co w karczmie siaduje,
Bo żyd sobie podwójnie kubki zapisuje....

Błażéj: Żebym tylko wiedział, że on tak robi, tobym mu naprawił kości!

Maciej: Za to by was sąd ukarał srodze, a nie chodźcie do karczmy, to nie będziecie mieć straty!...

Błażéj:

Kiedy to tak, Macieju, przyznam się wam szczerze,
Człeka zawsze do karczmy ogromna chęć bierze,
Żeby wstąpić na chwilę, użyć tutaj czasu,
Choć ztąd nieraz wypadnie dość sromu, hałasu....

Maciej: Mój Błażeju kochany, zależy to od waszéj woli, wstąpić lub nie do żyda, bo on was nie ciągnie. Ale wyście się mocno w karczmie zakochali. Pamiętajcie, Błażeju, że tego po niewczasie żałować będziecie. Teraz nie cenicie ani swojéj ani cudzéj pracy. Pozwólcie, powiem wam bajkę!

Stary Bartek Sikora, co wszędzie rej wodził,
A mało do kościoła, lecz do karczmy chodził,
Gdy się upił z przyjacielem
I nanudził swém weselem,
Pożegnawszy się z kmotrem, cicho, pokryjomu,
Zaczął się pomaleńku wynosić do domu;
Ale jak to o tém wiecie,
Trudno chodzić po tym świecie
Temu, co to w pałkę wleje,
Bo mu się świat w koło chwieje.
Gdy więc nie chcą nosić nogi,
Stary Bartek zbłądził z drogi,
I rozmarzony trunkiem, gdzieś przy lesie blizko,
Zatoczył się i upadł nieborak w mrowisko.
Gdy mrówki taką kłodę w swéj pracy spostrzegły,
Zaraz się zbiegły,
I daléj bronić gniazda wszystkiemi siłami.
Zerwał się stary Bartek równemi nogami,
Małych mrówek pracę drogą,
Zaczął silnie deptać nogą.
Jedna z nich, co z bojaźni pod krzaczek uciekła,
Te słowa rozżalona do niego wyrzekła:
— Człowieku! gdy do pracy sam nie masz ochoty,
To szanuj gdy pracują choć drobne istoty!

Widzicie więc, mój Błażeju kochany, pracuję dla tego, bo kocham pracę, żal mi tracić czas kosztowny niszczyć zdrowie, honor i pieniądze, a chciałbym dla drugich być pożytecznym. Postępujcie i wy inaczéj, a stokroć spokojniejszym uczujecie się w sumieniu waszém. Bądźcie zdrowi!

A wam to zaś, panie pisarzu, donoszę, żeby i inni ludzie wiedzieli dla czego pisuję do gazet? Zostańcie z Bogiem!

Maciej Szarek z Brzegów.

Od Redakcyi.

Staramy się u Władzy, by od nowego roku Włościanina wydawać co tydzień, nie jak dotąd, dwa razy na miesiąc. Przedpłaty nie podwyższymy. Już żeśmy w tym celu stósowne poczynili kroki. Mamy błogą nadzieję, że Szanowni Czytelnicy przyjdą nam w pomoc, byśmy nie podnosząc prenumeraty, wyszli na swoje.

Redaktor odpowiedzialny: *Józef Chmielewski.*

Wydawca S. Jordan.

W drukarni W. Jaworskiego w Krakowie.